

# Kronika tygodniowa.

Zanim przystąpię do porządku dziennego, pozwolę sobie przytoczyć dosłownie list, jaki otrzymałem od jednego z Szanownych Czytelników, mianowicie od owego, o którego szczęściu loteryjnym doniosłem w poprzednim numerze.

Brzmi on (naturalnie list, nie Czytelnik...), jak następuje:

„Wielce szanowny Panie Kronikarzu!

Na podstawie § 19 ustawy prasowej proszę o sprostowanie na tem samem miejscu i tym samym drukiem lekkomyślnie podane wiadomości, jakoby przez całe dwa miesiące wojenne narzekał na brak dochodów z powodu prawie całkowitego zawieszenia czynności sądowych.

Nie jest to prawda, narzekałem bowiem tylko przez miesiąc sierpień, we wrześniu sytuacja znacznie się już poprawiła, na dowód czego mogę na żądanie podać nazwiska mych klientów, których w tym czasie, według wszelkich zasad proceduralnych, ku naszemu obustronnemu zadowoleniu obsługiwałem.

Fałszem także jest, jakoby w mym porfelu pozostało czekających na swą kolej aż dwadzieścia losów loteryi klasowej, mam ich obecnie wszystkiego dwanaście, co mogą stwierdzić tak wiarygodne osobistości, jak moi przyjaciele, z którymi wspólnie te losy zakupiłem.

Również nie przypominam sobie wcale, bym Panu Kronikarzowi obiecywał pięć procent od wygranej, tytułem *Schweiggeldu*, natomiast jestem gotów oddać mu na wyłączną własność te losy, które w piątej klasie wyciągnięte nie zostaną, nie żądając nawet zwrotu pieniędzy, wyłożonych na ich zakupno. Jeżeli więc Pan Kronikarz na to reflektuje, zechce się zgłosić u mnie w kilka dni po nadejściu ostatniej urzędowej listy wygranych.

Zdradza natomiast Autor kroniki wybitną nieznajomość ustaw skarbowych, żaden bowiem inspektor podatkowy, choćby on był najbardziej energiczny, nie znajdzie ani paragrafu, ani rozporządzenia ministeryalnego, któreby zalecało opodatkowanie szczęścia, „jakie się ma w życiu”. To jest wystawianie na pośmiewisko tak poważnej instytucji, jaką jest c. k. Sruba podatkowa.

Przyjm Pan wyrazy mego oburzenia, ale zarazem i poważania i strzeż się na przyszłość rozsiewania podobnych niepokojących wieści, gdyby bowiem znajomi dowiedzieli się o mem szczęściu, z pewnością nachodziliby mnie z prośbami o pożyczkę, a wiesz chyba, że adwokat jest na to, aby brał, nie aby dawał...

(Podpis nieczytelny)“.

W odpowiedzi na ten list mam zaszczyt zawiadomić Czcigodnego Pana Mecenas, że obecnie, z powodu stanu wyjątkowego i moratorium, śmieję się z Jego § 19. Jeśli zaś pismo Jego zamieściłem, to bynajmniej nie ze strachu przed odpowiedzialnością karno sądową, ale dla miłej zgody, w jakiej żyć pragnę ze wszystkimi współobywatelami, których uważam jako *socios doloris* w tych ciężkich czasach. Żał mi także, że nie mogę zadość uczynić Jego żądaniu i postarać się o podanie sprostowania „tym samym drukiem”, niestety jednak skład poprzedniej kroniki już rozebrany, a czcionki rozrzucone są po kaszcie.

Trzeba było pospieszyć się z listem.

Co do reszty punktów sprostowania, to mniej więcej zgadzam się z nimi i przyjmuję do swej wiadomości, z tą jednak uwagą, iż zrzekam się owych niewyciągniętych losów. Może Szanowny Ofiarodawca przeznaczyć je na jakiś cel dobroczynny, dajmy na to na fundusz wsparcia wstydzących się pracować, lub na założenie katedry śpiewu i muzyki w szkole głuchoniemych. Kandydata na tą posadę mam już w osobie jednego ze znanych naszych krytyków muzycznych.

Na jedno tylko zgadzam się bez zastrzeżeń, to jest na zarzut „nieznajomości ustaw”, bo przekonałem się o tem z okazji ogłoszenia nowego moratorium, którego absolutnie zrozumieć nie mogę, choć przeczytałem cały komunikat od początku do końca, a potem od końca do początku. Zasięgałem w tej kwestyi zdania kilku wybitnych prawników (jeden z nich jest dyurnistą w magistracie, drugi służy przy pospolitem ruszeniu), każdy z nich powtórzył mi to samo, że właściwie nie wie, o co chodziło autorowi rozporządzenia.

Wobec tego zawiadamiam mych P. T. Wierzyteli, o ile nie wyjechali dotąd z Krakowa, iż i nadal, to jest aż do chwili dokładnego przestudyowania

komunikatu moratoryjnego, muszę się wstrzymać od płacenia długów.

Na pierwszym punkcie porządku dziennego niniejszej kroniki znajdować się miała naturalnie ewakuacja, pod której znakiem każdy z nas żyje, bez względu na to, czy otrzymał pożyczkę w magistracie na wyjazd z obrębu twierdzy, czy też nie.

Zapytywano mnie z kilku stron, co oznacza wyraz ten właściwie, postaram się więc zapoznać z jego znaczeniem P. T. Czytelników bez względu na to, czy już zapłacili prenumeratę za bieżący kwartał, czy też dopiero noszą się z tą szlachetną myślą.

Zdaje mi się, że każdy mnie zrozumie, mam bowiem, jak się już nieraz mogłem przekonać, dar jasnego wykładu, że niech się niejedyn zwyczajny profesor uniwersytetu schowa!

Ewakuacja więc, w tem znaczeniu, jak ją obecnie pojmujemy, jest to, mówiąc innemi słowy, wypróżnienie wojenne, to jest oczyszczenie fortecy na wypadek oblężenia z osobników, któreby tu zaważały. W pierwszym więc rzędzie należy się postarać o wysłanie, i to bardzo daleko, kamieniczników, którzy naprzykrzają się lokatorom o czynsz i czynią im jeszcze bardziej gorzką i tak już dość cierpką dolę. Następnie radziłbym wyszupasaować całą czarną giełdę, między jej członkami znajdują się bowiem jednostki, ogromnie niebezpieczne i zagrażające spokojowi publicznemu. Ja sam, znalazłszy się onegdaj w okolicy kościoła św. Wojciecha, musiałem zebrać cały charakter, jaki mam w nogach, by ująć przed pościgiem pewnej damy, która z parasolem w jednej ręce, a nieodstępna torbą w drugiej, puściła się za mną w pogoń.

Na szczęście, w tej właśnie okolicy jest kilka kamienic przechodnich, poszedłem więc w ślady Almanzora z „Alpuhary” i w jednej z nich „zmyliłem pogonię”...

Wołała wprowadzić za mną (żydówka, nie kamienica!...): „Panie godny!... Panie godny!... Wiwróć się pan!...”, pozostałem jednak nieczuły, zwłaszcza, że od kilku miesięcy załegam z procentami, nie mówiąc już o kapitale, który w danym wypadku zasługuje w samej rzeczy na nazwę żelaznego.

Wyobrażam sobie, jaką frajdę sprawiłaby ta scena pierwszemu lepszemu przedsiębiorcy kinematograficznemu, gdyby mu się ją udało chwycić na film. Choć mi nie jest tak na imię, możnaby obraz zatytułować: „Ucieczka cnotliwego Józefa przed zakusami namiętnej Putyfary”.

Że film podobny mógłby i z pewnością zrobiłby furorę, za to ręczę, że względu też, iż zmarł nieodżałowany Maks Linder, któremu „Nowości” poświęciły tak czule wspomnienie, gotów nawet jestem pozować do zdjęcia, o ile naturalnie otrzymam odpowiednie honorarium.

Aby jednak uchronić naszych Józefów od napaści owych Putyfar, należy zastosować tutaj ustawę z całą surowością i ewakuować jak najprędzej całą czarną giełdę.

Pozatem powinno się usunąć bezwarunkowo z obrębu twierdzy wszystkie teściowe, bez względu na wyznanie, wiek i tuszę, a sądzę, że chyba każdy zgodzi się na moją propozycję, kto tylko był kiedykolwiek w tem... powiedzmy... miłem położeniu, iż posiadał teściową.

Przepędzi się je za siódmą górę i rzekę, zapasy zaś, jakie posiadają, rozdzieli między kawalerów, by w czasie oblężenia nie pomarli z głodu. Każdy jednak z obdarowanych musi złożyć przysięgę, iż raz na zawsze wyrzeka się teściowej i wszelkich jej spraw.

Gdyby później okazało się, że który z nich przysięgi nie dotrzymał, w takim razie... sam sobie będzie winien.

Względem kogo stosować zresztą ustawę ewakuacyjną, to już rzecz komendy, ja się tam w te sprawy nie chcę nawet mieszać.

Największy przecież lament powstał w całym Krakowie, gdy rozpuścił ktoś wiadomość, że wszystkie niewiasty zostaną przymusowo z miasta wydalone. Zwołano nawet zgromadzenie interesowanych, na które zaproszono i niżej niepodpisanego, jako sprawozdawcę.

Przewodniczyła mecenasowa Mężołubka, która zagaiła obrady temi słowy:

— Kochane panie i panny! Zebrałyśmy się tutaj, aby zaprotestować przeciw barbarzyńskiemu rozporządzeniu władz, chcących nas oderwać od tych, których kochamy, to jest od mężów naszych i dzieci...

W tem miejscu przerwała jednak prezesowej panna Cnotliwska, członek czynny Bractwa dobrej śmierci, wołając:

— Protestuję w imieniu swoim i wielu innych! Ja nie mam ani męża, ani tem samem dzieci!...

— Proszę mi nie przerywać! — odpowiedziała

zgniewana mecenasowa. — Otóż, moje kochane panie, pomyślcie tylko, ile godzin, ba dni, tygodni lub może miesięcy przyjdzie nam spędzić w niepewności, zdala od naszych najdroższych... (...Z głębi sali słyhać kilka przeciągłych westchnień...), nie wiedząc, co się z nimi dzieje. Nie! Moje panie, my na to zgodzić się nie możemy, stawiam więc wniosek, by natychmiast wybrać komisję matkę... (Głos z sali: A czy mogą do niej należeć i panny?...), któraby udała się, gdzie należy i postarała o cofnięcie wydanego rozporządzenia! Chcą nas wywieźć gdzieś do Czech lub na Morawy, a może jeszcze dalej, my na to pozwolili nie możemy, bo nasze miejsce, tak w dzień, jak i w nocy, przy tych, którzy przy ołtarzu ślubowałyśmy wierność aż do śmierci. Skończyłam!

— To ja zaczęłam! — odezwiała się panna Cnotliwska swym skrzeczącym głosem. — I ja jestem przeciwną wywiezieniu nas przymusowo z granic Krakowa, ale bynajmniej nie z tak egoistycznych pobudek, jak te, o których wspomniała szanowna moja przedmowniczka. Ja, jeśli uznaję to rozporządzenie za rzeczywiście drażniące, to tylko z powodów natury ogólnie ludzkiej i ze względu na moralność... Pomyślcie tylko, moje panie, ile to będzie zgorszenia, gdy nas tu nie będzie...

— Skądże znowu? — przerywa tym razem mecenasowa Mężołubka — Przecież wszystkie kobiety muszą wyjechać!

— Nie wierz im pani! Oni tylko tak mówią, by się nas pozbyć, a zaręczam, iż postarają się o to, że zostaną, pani już wie, te osoby, co to są powodem, iż własni mężowie zaniedbują was i łamią zaprzysiężoną wierność.

— Hm! Hm! Skąd pani jednak wie o tem?... Przecież pani dotąd mężatką nigdy jeszcze nie była... Chyba...

— Jakże chyba?... Wypraszam sobie wszelkie chyba... Otóż, stawiam wniosek, by kuć żelazo póki gorące, to jest nie wybierać żadnych komisji, ale w komplecie tak, jak tu jesteśmy, obejść bezzwłocznie wszystkie władze i przedstawić im, co nas boli. Większość naczelników władz to ojcowie, pojmą więc, co to znaczy boleść żon i matek, choć, prawdę mówiąc, między ojcostwem a macierzyństwem jest taka różnica, jak...

Tu odezwał się znowu jakiś gruby głos z kąta:

— A jakże! Pani się zna na tem, jak ślepy na kiszonych ogórkach... Co to dużo gadać... Mogą sobie wydawać rozporządzenia, a my nie pojedziemy i basta! Co też robiłby mój najdroższy Tomuś, gdyby mnie przy nim nie było? Kto potrafiłby tak czule opiekować się nim, jak ja?

— Aha! — dochodzi znów cienki głosik z pośród audytoryum — To zapewne dlatego był kiedyś taki spuchnięty i opowiadał u Hawelki, że go w biurze zawiązało!

— Moja pani! Nie wtykaj pani nosa w nasze domowe sprawy... Ja tam nie jestem ciekawa, co się u was dzieje! A mogłabym dużo o tem powiedzieć, opowiadała mi bowiem dziewczyna, która przedtem u was służyła... Kończmy już raz, spieszy mi się, bo u mnie dziś wielkie pranie! A tym szelmom dziewczkom wierzyć nie można... Ja tu jestem, a ona tam z pewnością wystaje z kawalerem przed bramą...

— Wobec tego zamykam posiedzenie i zapraszam panie na jutro! — zakończyła przewodnicząca, której także się spieszyło, zaproszoną bowiem była na herbatkę do doktorowej Wszędobyłskiej, znanej z tego, iż najdokładniej poinformowaną była o tem, co się w Krakowie dzieje, działo, a nawet dziać będzie.

Rozeszły się więc szanowne niewiasty, obiecując się spotkać znowu jutro i ostatecznie uchwalić, że nie ruszą się z Krakowa, a ustąpią, chyba przed gwałtem.

I ktoby to był powiedział, że jedna taka ewakuacja może tyle złego narobić. Czekajmy przecież, a doczekamy się, o ile wiem, tryumfu niewiast, które postawią na swoim, zwłaszcza, że o wydaniu podobnego rozporządzenia nikomu się nawet nie śniło.

Ewakuacja, to w każdym razie nic przyjemnego, przekonałem się o tem, widząc mieszkańców gmin przyłączonych, opuszczających Kraków. Gaiotą się biedacy, niczem śledzie w beczce, podmiejskie piękności narzekają, iż nie mogą się zmieścić we wagonach ze swymi kapelusami.

